



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Najmniejszy samochód.



Dawniej dzieci bogatych rodziców otrzymywały niekiedy w podarunku małe wózki, zaprężone w kucyki lub osielki, które mogły same powozić; dzisiaj w Ameryce i pod tym względem zmieniły się zwyczaje. Kucyki poszły w ką, a miejsce ich zajęły malutkie samochody. Opisywaliśmy kilka razy w „Wieczorach” mechanizm samochodów,

które i w Warszawie rozpowszechniają się coraz bardziej, nadmienimy więc tylko, że budowę ich musiano za morzem wydoskonalić znakomicie, skoro pozwalają 8-0 letniemu maszyniście obwozić siostrzyczkę po parku takim wehikułem.





## Wiktor Hugo.



Sto lat temu urodził się we Francji jeden z jej największych poetów, który miał stanąć na czele współczesnego sobie pokolenia, jako chorąży literackiego kierunku, zwanego romantyzmem. Człowiek ten odegrał w swoim społeczeństwie rolę, podobną poniekąd do tej, jaka u nas przypadła w udziale Mickiewiczowi. Tę stuletnią rocznicę Francja obchodziła uroczystie, a ta uroczystość znajduje echo we wszystkich cywilizowanych krajach, w których znanym jest imię Wiktora. Dzieła jego tłumaczone są na wszystkie języki, a oprócz tego wszyscy szanują w wielkim poecie nieskazitelny człowieka.

Bo im większy talent, tem bardziej mamy prawo wymagać, by charakter stał na jego wysokości, i dopiero wówczas autor nabiera prawdziwego znaczenia, jeśli czyny jego idą w parze z zasadami. Trudno byłoby nam wielbić dzieła, choćby najpiękniejsze, gdybyśmy musieli pogardzać ich autorem. Wiktor Hugo mógł błędzić i mylić się w wielu rzeczach, bo to jest rzeczą ludzką, ale pisał zawsze z największą szczerością to, co czuł, i służył sprawie, którą za słuszną uważał; nigdy nie przენiewierzył się samemu sobie a przytem miał serce, które głęboko wzruszała każda nędza, każde nieszczęście, a zawsze czynił, co było w jego mocy, aby je złagodzić.

Dzieci kochał niezmiernie, znał je dobrze i w swoich utworach opisywał je prześlicznie. Można nawet powiedzieć, że ze wszystkich nędz ludzkich niedole dziecięce wzruszały go najwięcej. Często też w dniu świątecznym zapraszał do siebie gromady biednych dzieci, zastawiał dla nich stoły pełne łakoci, obdarzał zabawkami, wymyślał im różne przyjemności. Była to w starości jego najmilsza rozrywka.

Ojciec Wiktora Hugo był generałem napoleońskim, matka należała do rodziny przywiązanej do Burbonów i dawnego porządku rzeczy we Francji. Była Wandejką, pochodziła z tej części kraju, która broniła go z takim poświęceniem i odwagą. Młody Hugo wzrastał więc pod tymi sprzecznymi wpływami, ale ojciec i matka mieli w żyłach krew bohaterską, a odwaga była u nich rzeczą zwykłą. Młody Wiktor odziedziczył przymioty rodziców, drgają one w każdym jego wierszu i słowie. Generał Hugo miał przytem niezwykle szlachetne serce. Poeta opowiada w tym względzie w swych „Legendach wieków” wypadek, który się ojcu jego przytrafił w czasie wojen hiszpańskich. Objeżdżał on ze swoim ordynansem świeże pobojo-wisko, gdy dosłyszał jęk rannego nieprzyjaciela, błagającego o wodę. Generał dał więc towarzyszącemu sobie żołnierzowi swoją manierkę i kazał go napoić. Tymczasem Hiszpan widząc Francuza, dobył nagle pistoletu i wyteżając ostatek sił, strzelił do generała. Na szczęście strzał chybił a generał, nie zważając na to, zwrócił się do swego żołnierza, mówiąc: „Pomimo to dajże mu się napić.”

Po śmierci generała matka Wiktora osiadła z dziećmi w Paryżu, a Wiktor poddany jej wyłącznemu wpływowi, zachwycony bohaterskimi dziejami Wandei, przejął się przekonaniem legitymistycznemi, jak nazywają do dzisiaj dnia we Francji stronników Burbonów, którzy po upadku Napoleona I-go osiedli znowu na tronie francuskim. Będąc bardzo młody, bo mając zaledwie lat piętnaście, Wiktor otrzymał w szkole nagrodę za odcz „O pożytku nauki.” We dwa lata później akademia w Tuluzie nagrodziła na konkursie sławnych igrzysk kwiatowych jego poezye, na cześć dziewicy z Verdun, czterech młodzieńskich dziewcząt, gilotynowanych przez rząd rewolucyjny.

Nieco później wslawiony tym tryumfem poeta, został

członkiem stowarzyszenia Muzy francuskiej, na którego czele stał filar ówczesnej monarchii Chateaubriand. Naturalnie młody Wiktor z całym zapalem wyznawał wówczas te same idee. Mając zaledwie lat dwadzieścia, wydał ody i ballady, dostał pensję z prywatnej szkatuły króla, a jakkolwiek pensya była bardzo niewielka, ożenił się z Adelą Fouché, równie jak on ubogą, młodszą o lat parę, która przez lat wiele była dla niego wierną towarzyszką dobrej i złej doli, a dla której był zawsze najlepszym mężem. Dojrzewając, wielki poeta zaczął powoli powracać do liberalnych tradycji swego ojca. W tej epoce swego życia pisał głównie dramaty, a zwrót w jego pojęciach zaznaczył się najprzód w Cromwelu, w którym zerwał z klasycyzmem i trzema jednościami: miejsca, czasu i akcji, jakich koniecznie od sztuki dramatycznej wymaga klasycyzm. Znaczyło to, iż każda sztuka miała rozgrywać się w ciągu jednej doby i koniecznie w jednym i temże samem miejscu. Z temi dwoma jednościami zerwał romantyzm, nie uznawał ich zresztą ani Shakspeare, ani pisarze hiszpańscy z wielkiej epoki Lopeza de Vega i Kalderona. Co do trzeciej jedności akcji, stanowi ona bardzo słusne wymaganie i trzyma go się każdy znakomity twórca dramatyczny, który nie chce rozpraszać uwagi widzów.

Stróżem wiernym klasycznych tragedii był w Paryżu teatr francuski, w którym królują zawsze wielka trójca: Corneille, Racine, Molière. W roku 1830-ym jednakże jedno z najznakomitszych dzieł naszego poety *Hernani*, zostało w nim przedstawione i po prawdziwej burzy między publicznością, złożoną z dwóch wrogich literackich stronnictw, romantyzm odniósł stanowcze zwycięstwo.

Zanim jednak przyszło do samego przedstawienia, ileż trudności stawiano autorowi na każdym kroku. Dyrekcyja wprowadzie sztukę przyjęła, ale wielu artystów było jej przeciwnych i nie kryło swej złej woli. Najtrudniejsza sprawa była z ówczesną primadonną dramatyczną teatru francuskiego ulubienicą publiczności, sławną w rocznikach sztuki francuskiej, panną Mars.

Jeżeli panna Mars zgodziła się grać w *Hernanim*, to najprzód dlatego, że rola była znakomita, dawała jej pole do wykazania wszystkich przymiotów, a powtóre jako osoba przezorna, lękała się stracić łaski grupy młodych i utalentowanych autorów, którzy mogli sobie wynaleźć jaką zdolną aktorkę, coby stała się jej rywalką. Przyjęła więc rolę donny Sol w *Hernanim*, ale swoją drogą razily ją co chwila wyrażenia i zwroty, do których nie przywykła.

Szczególniej do rozpacz doprowadzał ją ustęp, w której donna Sol porwana odwagą Hernaniego, nazywa go swoim lwem. W tem miejscu, na każdej próbie panna Mars, wzywała autora, przypominając, by donna Sol starym obyczajem, mówiła zamiast „O mój lwie,” — „O panie.” Naturalnie Wiktor Hugo na taką zmianę się nie godził, a ona dowodziła, że wyrazy „O mój lwie” wywołają wybuch śmiechu w całym teatrze, bynajmniej nie pożądanym w tak tragicznem miejscu.

Podobnych przedstawień i sprzeczek było pełno. Wiktor Hugo stał przy swoim i fakty dowiodły, że miał słusność.

Za rządów Ludwika Filipa po rewolucji lipcowej poeta wielbiony powszechnie, mianowany został parem Francji. Była to jedna z najwyższych godności, o jakich mógł marzyć młody romantyk, nie należący do arystokracji. Można powiedzieć, iż przez lat kilkanaście używał on wówczas niezmaconego szczęścia. Miał rodzinę, żonę, dwóch synów i dwie córki, które kochał gorąco, każde niemal jego dzieło było rozchwytywane, stanowiło epokę w literaturze.

Jedna z córek poszła za mąż po myśli rodziców, za bardzo zdolnego literata. Szczęście, dostatek, sława, zaszczyty, przyjaźń i cześć ludzka, otaczały Wiktora Hugo, który w młodym jeszcze wieku, doczekał się już z dzieci pociechy i cieszył ich pomyślnością.



Szczęście to zmała straszna katastrofa. W czasie spaceru niedaleko Paryża, zamężna córka poety utonąła w oczach ojca, z powodu wywrócenia łódki na stawie, a wraz z nią utonął i mąż jej, który chciał ją ratować. Cios ten ugodził Wiktora Hugo w samo serce i pozostawił nigdy niezagojoną ranę. Córka ta była jego pierworodną i ukochaną.

Kiedy w r. 1852 nastąpił zamach stanu Napoleona III z którego zasadami poeta się nie zgadzał, opuścił kraj rodzinny. Uczynił to dobrowolnie, jakkolwiek kosztowało go wiele rozstanie z Paryżem, z którym zrosły się wszystkie jego wspomnienia. Osiadł z rodziną na wyspie Guernesay, należącej do grupy, rzuconej na kanale la Manche, pomiędzy Anglią i Francją i mającej ludność mieszaną. Tam w ciszy i skupieniu przebył lat kilkanaście, wydając od czasu do czasu dzieła, zajmujące świat cały, które płacono mu na wagę złota.

Po upadku dopiero drugiego cesarstwa w 1870 roku powrócił do Paryża. Los nie szczędził mu ciosów, druga córka jego dostała obłąkania, stracił obydwóch synów i żonę. Z całej rodziny zostały mu tylko wnuk i wnuczka, która wraz z owdowiałą synową mieszkały przy nim. Z ich to powodu napisał książkę „Sztuka być dziadkiem.” Dzieci te pieścił bardzo, czyniły z nim one, co tylko chciały. Nieraz porzucał licznie zebranych u siebie gości, żeby pójść usnąć małą Joasię, opowiadając jej bajki, bo inaczej położyć się nie chciała. Stary poeta przelał na te dzieci całą swą miłość rodzinną, kochał w nich tych wszystkich, których utracił. Były one przez długi czas jego szczęściem. Pisał do samej śmierci, zachowując zawsze jasność umysłu, siłę twórczą, dobroć i miłosierdzie, które były znamienymi jego cechami.

Umarł po kilkodniowej chorobie, r. 1885; oplakiwała go cała Francja, a pogrzeb dorównał wspaniałością pogrzebom monarszym. Brał w nim udział nie tylko Paryż i kraj rodzinny, ale inteligencja całego świata.

Liczba dzieł, które Wiktor Hugo napisał, jest bardzo wielka. Nie będziemy ich tu wyliczali, bo znajdziecie ich wykaz w każdej historii literatury powszechnej. Ten plon obfity zawdzięcza niezwyklej i stałej pracy; pracował bowiem nieustannie przez lat tyle od pierwszej młodości; praca stała się dla niego potrzebą i nałogiem a nie przeszkadzała mu wcale do brania udziału w życiu publicznym, towarzyskim i rodzinnym, dzięki mądrym rozłożeniu czasu i regularności nawyknień. Wstawał codzień o 6-ej rano, pił czarną kawę, pracował bez przerwy do 9-ej. O tej godzinie jadł śniadanie z rodziną i oddawał się powszednim zajęciom, pracom publicznym, zabawom, przechadzkom, które bardzo lubił i w których gromadził materiały do utworów, do których służyło mu wszystko, co natykał, zarówno ludzie jak zwierzęta, ptak jak ropucha, bo wszystko budziło jego myśli, nasuwało obrazy. Miał wysoko rozwinięty zmysł sprawiedliwości, oburzał się na wszystko, co ją obrażało, i ogromny swój talent oddawał na usługi umiłowanym ideom i sprawom.

Całe życie powstawał przeciwko karze śmierci, której nie w oczach jego usprawiedliwić nie mogło i którą uważał zawsze jako straszny występek społeczny. Napisał znakomity utwór „Ostatni dzień skazańca.” a w nim przedstawił w przerażający sposób męczarnie, jakie przechodzi człowiek w pełni sił i życia, który wie, iż każda sekunda zbliża go do fatalnej chwili.

Utwór ten zrobił niezmiernie wrażenie, może przyczynił się w wielu krajach do zniesienia kary śmierci. Nie poprzestając na tem, Wiktor Hugo, korzystając ze swego wyjątkowego położenia, ile razy zdarzyło się w jakimkolwiek kraju wydanie wyroku śmierci, pisał do monarchy, mającego prawo łaski, błagając go za skazanym, bez względu na to, jaką była jego wina i czynił, ażeby tę łaskę użyć, co tylko było w jego mocy.

Z równym zapałem bronił wszelkich spraw, które uważał za słuszne i sprawiedliwe, bo oprócz rozumu i talentu posiadał jeszcze trzecią wielką potęgę, przy której tamte dochodzą do swej pełni: posiadał gorące serce.

W. M.

Zofia Kowerska.

## W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Szkoda, że już proch wymyślony! — szepnął Zdziś do Józia. A Wojciech mówił dalej:

— No, i jakim się do myślenia wziął, takim Staśkowi taką żonę narabił, co mu jej wszyscy zazdroszczą. Ręczyska ma duże, jak u chłopca, jak ci pozajmie robotę to zaraz je poznaka; nogi, że w moje buty nie włożą... jak ci se tę nogę postawi na klocku, a jak weźmie rąbać, to ci wióry o staję odskakują! A choćby miała siłę Staśka prac, to ci dla niego taka potulna, jak cielę, wychowane w chałupie.

— Cielę w chałupie? — zawołał z przestachem Józio.

— A cóż robić z cielęciami, jak się w mróz urodzi? — zapytał Wojciech z wyższością. — Trza go do chałupy wziąć, a jak się w chałupie rozparzy, to go nijako znowu na zimno wypędzić. Tak się i chowa między ludźmi. Dzieci go skubią, drapią, bawią się z niem, a ono do dzieci ryczy lepiej niż do matki, a liże, a grzbiet nastawia. Ale jabyim chciał o jedną łaskę prosić. Zeby mi jaśnie pan dał fuzyi swojej, choć na wiele, na kwadransik! Tylkobym se z nią obszedł gumno i cały dwór dokoła. Bo to złodzieje te tak lubią: że niby ze dwóch kradnie z jednej strony, a potem uciekają, wszyscy za niemi gonią... a tymczasem z drugiej strony czterech albo i sześciu konie fornalskie, albo woły wyprowadzają... Zdarza się, że wieprze rzną i na wóz kładą...

— A Wojciech umie strzelać? — zapytał Zdziś.

— Umieć tam nie umiem, bom nigdy nie próbował, ale co innego mieć fuzyę na ramieniu, a co innego kij! Jakośby raźniej człowiekowi było z fuzyą.

— To my z wami obejdziemy wszystkie kąty — rzekł pan Zabrzeki — fuzya, z której się nie umie wystrzelić, tyle warta co kij.

— Ee... zawsze to co innego!

Obeszli wkoło parkany i płoty, ogrody, gumno, stodoły, sterty ze słomą, stajnie. Chłopcy z początku nie mogli się oprzeć uczuciu pewnej trwogi. W każdym ciemniejszym kącie wyobraźnia ich widziała jakieś postacie, słyszała jakieś szmery. Przejmowała ich jakaś groza, spodziewali się co chwila jakiejś katastrofy, której się bali, a jednocześnie jej pragnęli.

— Będziemy mieli co opowiadać jutro Zosi i Alusi — rzekł Józio.

— O, jeżeli jeszcze złapiemy złodziei! — rzekł Zdziś.

W tej chwili coś w istocie poruszyło się w miejscu, gdzie się parkan załamywał. Usłyszano jakieś kroki a pan Zabrzeki zawołał głośno:

— Stój, bo strzelę!

Kroki ucichły, a pan Zabrzeki obszedłszy spieszenie ką parkanu, stanął oko w oko z jakimś człowiekiem, którego twarzy wśród ciemności rozeznac nie mógł.

— Kto jesteś i co tu robisz?

Jakis głos błagalny i płaczący odpowiedział coś niewyraźnego.

Pan Zabrzeki wyjął spieszenie z kieszeni i zapalił jedną z nich tuż prawie przy twarzy nieznanego,



w którym wszyscy poznali Michała furmana, stojącego z łopata ogrodniczą na ramieniu, zawstydzonego i jakby złapanego na gorącym uczynku jakiegoś złego postępku.

— To ty, Michale?

Co tu robisz i co mogłeś kopać po nocy?

— Tak sobie wyszedłem ze stajni... gorąco było od pary końskiej... noc pogodna... tak se mówię, trza trochę obejść dokoła...

— Po co ty kłamiesz, Michale? Miałem cię za porządnego człowieka, a ty się wykręcasz... widać coś złego robiłeś...

— Ja nic złego nie robiłem! — zawołał Michał. — Tylko

chciałbym kupić te 12 morgów gruntu. One mi się aż śnią, aż za mną chodzą!...

— I chodziłeś je kupować w nocy?

— Nie kupować chodziłem, ale pieniądze szukać!...

— Z łopata po nocy?

— Cyganka tak każała, żeby o samej północy stanąć w lesie przed taką gruszą, co stoi między czterema dębami, a rośnie za czterema sosnami, za czterema

brzezynami, za czterema grabami i za czterema osinami. Ja tam pamiętałem jedną gruszę w lesie i choć nie uważałem se, czy ona tak stoi, jak mówiła cyganka, to zawsze nie inne to drzewo, tylko grusza. Spać nie mogłem, tylko se myślałem: może pod tą gruszą pieniądze zakopane. Póty mię ta myśl mordowała, aż póki nie wstałem i nie poszedłem. Kopałem, kopałem, pokopałem w koło gruszy takie doły, że się w każdej człowiek mógł schować, nic nie znalazłem, lartarka mi zgasała i ot wracam. Ale o niczem złem nie myślał.

— Aha! — zawołał Wojciech — jenszy człowiek to nic nie rozumie i da się prowadzić jak baran na rzeź, a jenszy to ma taki nos, że zwierzy każdą rzecz, jak wyżeł. Cygany was wyprowadziły do lasu pod gruszę, a same dobierały wam się do stajni przez strych, żeby sztabę ze środka odsunąć.

Michał się zmieszał i zabelkotał:

— Co? sztaba... konie wyprowadzili?

— A od czego jestem ja?

Stróż wyprostował się dumnie i palcem wskazywał na własne piersi.

— Spostrzegłem światło na strychu stajni i wypłoszyłem stamtąd ptaszka z latarnią.

W tej chwili Michał porwał się za głowę i począł biedz w stronę stajni, krzycząc:



*Pomnik Wiktora Hugo w Paryżu.*

— A ja nieszczęśliwy! Ludzie ratujcie! A cóż ja pocznę!

Nikt nie wiedział, co się Michałowi stało.

— Chyba zwaryował — ozwał się stróż po namyśle.

— Trzeba pójść za nim — rzekł pan Zabrzęski, który wraz ze stróżem i chłopcami podążył za Michałem.

Stróż podniósł rzuconą przez Michała łopatę.

— Taką dobrą łopatkę rzuca! — mruknął z oburzeniem. — Chyba, że naprawdę zwaryował.

Dotarli do stajni, gdzie zrazu nie dostrzegli Michała, usłyszeli tylko głos jego:

— Wstawaj Walek! — wołał z rozpaczą w głosie na chłopca stojącego — gdzieś mi się tu świeczka podziała! Miałem tu jeszcze kawałek świeczki! Wstawajże, bo mi się widzi, że mi się w mózgu ścią!

Pan Zabrzęski począł zapalać zapalki jedna po drugiej, a Wojciech zadeptywał każdą dopalającą się grubym butem, szepcząc:

— Zapalki palić tam, gdzie je słoma!

Żeby tak nie sam pan, tobym...

Wreszcie znalazła się świeczka. Michał porwał ją trzęsącymi się rękami, zapalił i jak szalony począł biedz po schodkach, prowadzących z wnętrza stajni na strych.

Ale stróż biegł za nim równie prędko i gdy Michał postawiwszy świeczkę na najwyższym wschodzie, począł się mocować z zepsutą kłódką, z którą od lat niepamiętnych wieczna była bieda, Wojciech chwycił go za kark i począł krzyczeć:

— To tak porządnym człowiekiem idzie z ogniem między siano? To wy chcecie pożar tu zrobić?

— Kiedy tam moje pieniądze, moja krwawica! Uczciwą pracą uciułałem se kilka groszy... ani ja na wódkę, ani na papierosy, ani na żadną zabawę! Inni furmani śmieli się ze mnie, że sobie w mieście ani kiełbasy nie kupię, ani piernika, tylko tym chlebem żyję, co mi go kobieta w drogę dała, a strawne chowam, każdy grosz chowam. Czy kogo na kolej odwożę, czy strzelam z bata na imieninach, kapnie mi rubelek czy złotówka, to wszystkim idzie do woreczka, na kupienie gruntu! Oj, czy aby tam mój woreczek jeszcze jest? A, ta kłódka! Co ona już ręk namęczyła, a za ten czas co ludzie stracili na jej otwieranie, toby można do Hameryki dojechać!

(d. c. n.)



B. Dyakowski.

**Węże.**

(Dokończenie).

Co ważniejsza, węże same ulegają wpływowi ludzi. W krajach zwrotnikowych znane są powszechnie sztuki, jakie pokazują z wężami tak zwani zaklinacze.

Polegają one na wykonywaniu przez węże jadowne pewnych ruchów, naśladujących tańce. W czasie przedstawienia zaklinacz chwytając węża, owija się nim, dotyka ramion, głowy, zbliża jego paszczę do własnych ust, a następnie puszcza go na ziemię. Wówczas wąż zaczyna się wykręcać, podnosić i opuszczać przednią część ciała, wykonywując szereg rytmicznych ruchów. Zaklinacz przez cały ten czas nie spuszcza zeń wzroku, hypnotyzując go oczami tak samo, jak on swe ofiary, a jednocześnie wygrywa na flecie, przyczem ruchy węża zgadzają się z melodią muzyki.

Ten taniec wężów nie jest zjawiskiem tak niezwykłym, jak się wydaje na pozór. Przedewszystkiem węże są nadzwyczaj wrażliwe na muzykę, a przytem zaklinacz, który przez długoletnią wprawę wybornie poznał obyczaje tych stworzeń, umie zmieniając wyraz oczu i ton muzyki, kolejno rozdrażniać lub uspakajać węże. W ten sposób zmusza je do wykonywania całego szeregu rozmaitych ruchów, sprawiających w całości wrażenie jakiegoś tańca, wrażenia nadzwyczaj wstrząsającego, zwłaszcza gdy się pomyśli, iż tańczący wąż należy do jadownych i że lada chwila może się rzucić na swego pogromcę. Wrażenie grozy powiększa się jeszcze przez to, iż od czasu do czasu wąż wpada w gniew, syczy i wysuwa rozdwojony język, ale tylko po to, aby za chwilę pod wpływem wzroku zaklinacza

i łagodnej muzyki uspokoić się i znów wykonywać miarowe ruchy.

Jak dalece muzyka działa na węże, widać z tego, iż niektórzy zaklinacze odważają się urządzać przedstawienia wprost z wężami świeżo złapanymi. Podróżnik Reyne, zwiedzając Cejlon, wybrał się raz z takim śmiałym zaklinaczem do lasu, gdzie mieli odbyć próbę tańca z wężem nie oswojonym.

„Obejrzałem najpierw dobrze zaklinacza, powiada Reyne, żeby się przekonać, iż niema on gdzie ukrytego pod ubraniem węża oswojonego. Następnie udaliśmy się do lasu do mrowiska, w którym przemieszkiwał duży okularnik. Zaklinacz zaczął grać na flecie i po chwili ukazał się wąż, który, spotkawszy się ze wzrokiem pogromcy, przedewszystkiem zamierzał uciec. Ale ten ostatni nie dał mu tego zrobić, i patrząc nań wciąż bacznie, ujął go wpół i wrócił do mnie, wykręcając swą zdobycz w ręce na wszystkie strony, niby laskę. Przyszedłszy do domu, zmusił go następnie do tańczenia.”

Ten wypadek jednak nie skończył się pomyślnie. Czy zaklinacz się zmęczył i wzrok jego stracił siłę, czy wąż był bardzo rozdrażniony, dość, że przy końcu tańców rzucił się na Indusa i ugryzł go powyżej kolana.

Z tego powodu przezorniejsi kuglarze starają się przedewszystkiem wyrwać lub złamać zęby jadowne złapanym wężom i dopiero następnie biorą się do ich oswojenia. W Egipcie osiagają to w taki sposób, iż, rozdrażniwszy węża, podstawią mu kij, którego koniec owinięty jest gałganami. Rozłoszczony gad kąsa koniec kija, przyczem zęby zaplątują mu się w gałgany; kuglarz zaś zręcznie i szybko przekręca kij i wyciąga go z paszczy węża, łamiąc mu przytem zęby jadowne. Postępuje on w ten sposób kilkakrotnie, aż dopóki nie zauważy, iż wąż jest już wyczerpany, a zęby według wszelkiego prawdopodobieństwa zupełnie



Indyjscy zaklinacze wężów.



złamane. Wówczas przyciska jego głowę kijem do ziemi ujmując go ostrożnie za szyję, ogłusza uderzeniem w pewne miejsce na karku, otwiera mu paszczę i sprawdza w jakim stanie znajdują się zęby jadowe. Ponieważ następnie odrastają one znów, trzeba więc dla pewności powtarzać to sprawdzanie i łamanie od czasu do czasu.

W każdym razie takiego węża, pozbawionego zdolności kłasnania, można zacząć oswajać znacznie łatwiej, a przedewszystkiem zupełnie bezpiecznie. Co zaś dziwniejsze — oswojenie tych groźnych gadów nie jest wcale rzeczą trudną. Tyczy się to nawet najstraszniejszych wśród nich, zarówno grzechotników jako i okularników, nie wyjmując nawet gatunków olbrzymich. Dokonywają zaś tego nie tylko specjaliści kuglarze, lecz i zwykli krajowcy, nie zajmujący się wcale pokazywaniem sztuk z węzami, lecz lubiący wprost trzymać te ohydne stworzenia w domach. Oryginalny gust, bezwątpienia!

Murzyni brazylijscy mają np. nieraz w swych mieszkaniach oswojone grzechotniki, które tak są przyzwyczajone i przywiązane do swych panów, że nigdy im nie robią nic złego. Zato obcy nie powinni zbliżać się do nich zbyt, a nadewszystko drażnić tych zwierząt.

W niektórych okolicach krajowcy umieją wyzyskać to oswojenie się i przywiązywanie się węzów, aby robić z nich rodzaj psów podwórzowych. Major Skinner, opowiada, iż Murzyni w niektórych miejscowościach Afryki trzymają bardzo często okularniki do pilnowania domów. Węże te łążą swobodnie po całym mieszkaniu, ku wielkiemu przerażeniu złodziei, nie czyniąc jednak najmniejszej krzywdy żadnemu z domowników.

Większa to sztuka oswoić i obłaskawić w ten sposób węża jadowitego, niż zmusić go do pokazywania sztuki w takt muzyki i pod grozą wzroku poskramiacza. Dowodzi ona z jednej strony potęgę rozumu ludzkiego i umiejętności postępowania ze zwierzętami, z drugiej zaś istnienia u tych ostatnich pewnego przywiązania i wdzięczności względem tych, którzy umieją dobrze obchodzić się z niemi.



## Stefek Luty w Brazylii.

przez  
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

— Książd proboszcz! jaką drogę wybrałby on dla mnie, on opiekun? Opiekun, a jednak dotąd nie napisałem do Wągrowca — myślał ze skruczą Stefan.

Był chory, potem nie wiedział, co stanie się z nim w przyszłości i tak zbiegł czas, okrutnie długi czas, przeszło trzy miesiące. Złe postąpił, należało donieść o sobie prosić o radę, zamiast działać samowolnie — szeptało sumienie a ze zbudzonym jego głosem, gdzieś na dnie mózgu Stefana, jak Mane Tekel Fares biblijne, wystąpiło ostrzeżenie Leona.

— Jeżeli zdradzisz, zginiesz, pisał Ziemiak.

— Powiem, muszę powiedzieć prawdę — odpowiadał sam sobie. Ale razem z tem postanowieniem ogarniał go niepokój i żal życia.

— Więc co wtedy będzie? więc zginie, zginie, nie pozostawiwszy po sobie śladu, nie zdobywszy nic, nie spróbował nawet pracować tak, jak pracować mu kazał książd proboszcz dla siebie, dla braci... Zgasły tymczasem ostatnie blaski zachodzącego słońca, pokój zaległ mrok, tylko za szklaną szybą drzwi odrywały się liście od drzew i spadały z monotonnym szelestem na ziemię. Było coś dziwnie kojącego w tym jesiennym zmierzchu, cichła też i dusza Stefana. Ogarniało go znużenie: Zapomniał o groźbach Leona, o troskach dnia jutrzejszego. Napływały mu do serca kojące szmery. Pamiętał ilustrację Dorego, widzianą w biblii pani O'Clear, ilustracja wyobrażała

kolebkę Mojżesza, utrzymywaną na falach Nilu skrzydłami aniołów. W domu ludzi dobrych i sprawiedliwych, jak rodzina inżyniera, czuje się także czasem powiew nadziejskich duchów. Przynajmniej zdawało się Stefanowi, że on go czuje w pół sennej godzinie zmroku, która jest jednocześnie godziną obrachunku z przeżytych wrażeń dnia. Fotel chwiał się na biegunach a sierota, ukołysłany jednostajnością jego poruszeń, zamrużył oczy i marzył.

Czy spał? tego nie wiedział sam. Spał niezawodnie, bo słyszał wyraźnie uroczysty ton Wągrowieckich organów i szum trzciny nad jeziorem. Jak długo grały te dwie muzyki jego lat dziecinnych, tego niepotrafiłby określić. Nagle pociągnął go ktoś za rękaw. Pewnie Marysia wołała na Stefka, że Tamci poszli już do organistówki.

Nie, to nie Marysia. A jednak jakiś człowiek stoi przy nim i wzywa go za sobą. W pokoju było zupełnie ciemno. Stefan zerwał się na równe nogi, odepchnął bujający fotel i próbował przypomnieć sobie, gdzie jest, czego od niego chcą?

— Chodź pan, chodź natychmiast, jeśli chcesz uratować inżyniera, ale milcz, niech jego matka nie dowie się o niczem.

Co znaczyły te słowa wymówione po niemiecku? Gdzie on miał iść? Naturalnie, że pójdzie, iść musi koniecznie i to jaknajprędzej. Schwycił czapkę leżącą na stole i wybiegł za nieznanym, który znikł już we drzwiach, prowadzących na podwórze.

Chłód wieczoru wrócił przytomność Stefanowi, wytrzymał z drzemki, przytrzymał rękę obcego i pytał niecierpliwie, jakie niebezpieczeństwo grozi Jakóbowi? Ten odmawiał jednak wszelkich objaśnień, kładł tylko palec na usta, jakby nakazując milczenie. Byłaż to więc tajemnica, czy też nieznanomy obawiał się, aby pani O'Clear nie usłyszała rozmowy? Stefan zrozumiał jedno tylko, że należy biedz co prędzej na pomoc zagrożonemu, biegł więc. Nieznanomy zatrzymał się dopiero na rogu ulicy i tu powiedział Lutemu, że Jakób wpadł pod koła ciężkiego wozu, ma obie nogi złamane, cudem tylko żyje jeszcze i wzywa do siebie Stefana, nakazując oszczędzanie wrażeń matce.

Sierota załamała ręce w rozpacz.

— Gdzież on jest, gdzie jest? — wołał — prowadź mnie pan do niego.

Tego tylko pragnął nieznanomy. Szedł prędko, ogłędając się od czasu do czasu za swoim towarzyszem. Minęli już kilka ulic.

Stefan niepokoił się coraz więcej. Czy pan O'Clear żyje jeszcze, czy go pozna? Chciał szukać dorożki, bo żadnej nie było pod ręką, ale oparł się temu obcy, mówiąc, że są niedaleko od miejsca wypadku. Niedaleko, a jednak szli wciąż, przebiegając najgłośniejsze ulice. Co to wszystko miało znaczyć, co Jakób mógł robić w części miasta, gdzie mało było sklepów porządných, a za to mnóstwo nor brudnych i cuchnących — myślał Stefan i odzyskując zimną krew spojrział badawczo na nieznanomego.

Nieznanomy? Ależ widział go już dziś, czy może wczoraj? Nie, dziś, zdaje mu się nawet, że ten facet w szarym surducie potrafił ich obu z O'Clearem we drzwiach sądu. I znów pomyślał, jak bardzo twarz i ruchy podobne ma do twarzy i ruchów człowieka spotykanego w Wągrowcu Kto to mógł być? Alboż pamięta, alboż ma czas zastanawiać się nad tem w chwili, kiedy musi biedz na ratunek Jakóbowi.

— Biedny pan Jakób! pożegnał go tak niedawno! On troskał się o jego bezpieczeństwo, mówił żeby nie wychodził z domu.

Tak, to były słowa Jakóba. Nie usłuchał go Stefan, wyszedł bo musiał ratować przyjaciela. Tylko gdzie jest O'Clear. Dlaczego tak długo idą do niego? Jakiemiż zaulkami prowadzi go nieznanomy?

Nieznanomy? Ależ on go zna, zna ten chód, ten niepokojny ruch rąk...

Przechodzili właśnie około latarni i pan w szarym surducie obejrzał się na Stefka.



— Wujaszek Leona! pomyślał nagle Luty — Tak, teraz wie z pewnością, że to on. Omal nie krzyknął przerażony, gdyż zrozumiał podstęp. Wywabiono go z domu O'Clearów i prowadzą gdzie? łatwo odgadnąć, zdała widać już Tamizę. Szereg latarni rozjaśnia brzeg rzeki i odbija się długimi smugami światła w szarych nurtach!

Krew zastygła w żyłach Stefana. Chłodny powiew wody przejął go dreszczem. To śmierć wyciąga ku niemu ręce, śmierć nagła, okrutna, bezlitosna. Czyż da się utopić jak kociak, którego psotne chłopcy ciągną do stawu? Nie, skupi wszystkie siły i ucieknie. Tylko jak uciekać? Nie znał tej dzielnicy Londynu, a prosić o ratunek przechodniów byłoby bezpiecznie? Wyglądali raczej na wspólników zbrodniarzy niż na ludzi gotowych bronić pokrzywdzonego.

Jednak nie pójdzie dobrowolnie pod nóż zbójcy.

Stefan był bardzo zmęczony, chodził dziś dużo z Jackómem, potem biegł szybko za nieznajomym. Ale niebezpieczeństwo podwaja siły. Przystanął na sekundę, nabrał tchu w piersi i nie oglądając się za siebie, nie myśląc o tem jak potrafi ująć pościgu Wujaszka, skoczył w poprzeczną uliczkę. Nim jednak zdołał dopaść za mur narożnego domu, rozległ się w powietrzu przyciszony gwizd i na dany sygnał wypadł z za węgla kamienicy herculesowej postawy mężczyzna. Stał tu z rozkazu Salcmana, wiedział o tem Żądło i naprowadził ofiarę wprost na nagankę. We dwóch schwytają chłopca a Holofernes, siłacz zawołany, rozprawi się z nim prędko.

Stefan zdążył jednak tymczasem wbiedz między wielkie składy drzewa. Był to prawdziwy labirynt zaułków, utworzonych przez stopy desek i bali. Nurkował w ciemnych przejściach, jak kret szukający bezpiecznej nory. Drzewo, o które zaczepiał się co chwila, darło na nim ubranie, kaleczyło ręce, a on biegł naprzód, byle uciec od prześladowców, byle znaleźć kąciak ustronny, gdzie mógłby przypaść do ziemi i pod osłoną nocy czekać, aż Opatrzność zśle mu ratunek.

Ale na ratunek było już zapóźno. Skręcał właśnie pomiędzy dwa stopy belek, kiedy nagle zamigotała przed nim ruchoma fala rzeki, a za jego plecami odbiły się o twarde bruk ciężkie kroki Holofernesa. Gwizdnięcie, do syku podłej gadziny podobne, oznajmiło, że i drugi prześladowca trafił na trop ofiary. Jeszcze chwila...

Stefan dobył ostatek sił. Jak szczwany zając, ścigany przez charty, umie wywinąć koziołka w powietrzu i skoczyć jednym susem na wysoką grzędę, tak on uciekając przed naganą zbirów, nurtujących pod deskami, schwytał się za belkę, która sterczała nad ziemią, podrzucił całym ciałem w górę, siadł na niej jak na konia i spojrzął z wysoko ku ścigającym.

Byli tuż, tuż za nim. Zmęczony Wujaszek przystanął, mierzając oczami odległość, dzielącą go od zawieszzonego w powietrzu Stefana, ale gruby Holofernes próbował już wejść na najbliższą sychtę desek. Luty zdążył tymczasem rozejrzeć się w położeniu. O krok od belki stała nad brzegiem Tamizy maszyna używana do spuszczenia ciężarów na rzekę, elewator. Wyglądała ona w mroku nocnym jak bajeczny potwór. Stefan nie mógł zawrócić z drogi, bo za nim biegł najmita zbrodniarza. Potężne ramię elewatora wydało mu się deską zbawienia. Wyciągnięte daleko nad powierzchnią wody wskazywało, że ocalenie przyjsć może tylko od strony rzeki, od traw. Luty tam go też szukać postanowił, zeskoczył z belki na drąg elewatora i pełzał po nim coraz dalej. Nagle zobaczył pod sobą głębi wody. Tratwy holowane przez statek parowy odplynęły na środek Tamizy. Żelazne ramię maszyny sterczało wysoko nad otchłanią, zdając się grozić potężną pięścią miastu, które kryje w swych murach zbrodnie i nie umie dać opieki niewinnemu.

Stefan dopełznął aż na sam koniec windy. Wspiął się po niej, jak po olbrzymim konarze drzewa. Napowietrzna podróż nie przedstawiała dla chłopca żadnej trudności, bo przywykł w Wągrowcu łązić po rozłożystych gałę-

ziach proboszczowskiego ogrodu. Z większym wysiłkiem odbywał za nim tę podróż jego prześladowca. Sapiąc i stękając dowlókł się jednak na koniec belki. Jeszcze chwila a przytrzyma Stefana za nogę, ale Stefan przewidział niebezpieczeństwo.

Schwycił łańcuch przymocowany do windy elewatora i spuścił się po nim na dół ku rzece. Skrzypnęło żelazto pod ciężarem chłopca, sierota, zawisł w powietrzu jak kloc, który jutro flisacy windować będą na Tamizę. Łańcuch chwiał się w powietrzu ale wielka łapa elewatora stała nieruchoma. Może żal jej było oddać ofiarę zdradzieckim wodom rzeki.

Stała nieruchoma, bo maszyna parowa, która porusza potwora swą siłą, odpoczywała przez noc. O świcie pałac roznieci w niej życie, teraz milczy i zdaje się podziwiać śmiałość chłopca, który uciekał przed ludźmi na fale Tamizy.

Stefan nie stracił przytomności, zawisł w powietrzu, trzymając się rękami o hak. Widział nad sobą świecące złością oczy zaczajonego u belki zbrodniarza. Jak kot śledzi ruchy ptaka, tak olbrzym śledził każde drgnięcie ciała wymykającej mu się ofiary. Pod stopami naszego bohatera szumiał nurt rzeki, błyszczały światła latarni na łodziach i parowcach. Ale łodzie i parowce stały w znacznej od brzegu odległości. Czy zdoła do nich dopłynąć biedak, wijący się na haku, jak robak, którego psotny chłopiec zaczepia o oścień wędki.

Stefan umiał pływać. Toż ćwiczył się nieraz w tej sztuce na falach Welny i na Wągrowieckim jeziorze, kiedy zrywał wodne lilie dla proboszcza i dla Marysi. Ale zmęczony, wylękły, czy znajdzie dość siły, dość krwi zimnej, aby skoczyć umiejętnie w rzekę, a potem dopłynąć do łodzi?

Któż to wie? A raczej wie tylko Ten, który w niezgłębionej Swej mądrości i miłosierdziu kieruje losami człowieka. Strąca On pyszne a wynosi pokorne i, jak opowiada Sabała, pamięta o nędznym chrobaczku, utajonym w kamieniu na dnie morza.

Zaskrzypiał żelazny łańcuch, hak podrzucony ręką Stefana drgnął w powietrzu, a Luty skoczył w głębi Tamizy i płynął śmiało wprost na świecące zdała latarnie, uczone o pomosty wielkich parowych statków.

*Koniec części drugiej.*

## Ś. p. Piotr Skrzypiński.

Pamięć o dawnych profesorach i nauczycielach częściej ginie wraz z pokoleniem uczni, którym wykładali, ale tak być nie powinno, gdyż wielu z nich przez swe wybitne zdolności, pracę i umiłowanie swego podniosłego zawodu, zasługuje na to, aby i późniejsze pokolenia znały i oceniały ich zasługi.

Do rzędu takich należał zmarły d. 20 marca r. b. w Warszawie Piotr Skrzypiński, który przez 50 z górą lat w różnych szkołach rządowych i prywatnych warszawskich wykładał wnukom i ojcom obecnych czytelników „Wieczorów Rodzinnych” historię, geografję, a głównie zasady języka ojczystego, ciesząc się ogólnem przywiązaniem i szacunkiem.

Ś. p. Piotr Skrzypiński urodził się w Dobrosławiu (pow. Koniński) w 1817 r., doczekał się więc późnego wieku, 85 lat żywota. Między 1858 a 1870 rokiem, napisał kilka podręczników szkolnych z dziedziny przedmiotów które wykładał; wśród nich pierwsze miejsce zajmuje „Mównictwo (czyli gramatyka) polskie,” które przed ukazaniem się gramatyki Małeckiego powszechnie było używane.



## Sprawozdanie z ćwiczenia „bez r“.



nie spodziewałem się, ogłaszając niniejszy konkurs na ćwiczenie bez litery „r”, że tak wielu czytelników „Wieczorów” zechce stanąć do niego. Tymczasem redakcja przesłała mi 21 marca cały stos listów, oznajmiając zarazem, że powiększa liczbę nagród z dwóch do pięciu. Zabrałem się do odczytywania tych ćwiczeń

i przekonałem się, że jednak i w polskiej mowie można obejść się poniekąd bez wyrazów z tą zgłoską, co świadczy o jej bogactwie i obfitości wyrazów i zwrotów.

Wybór najlepszych ćwiczeń nie był łatwy, bo większość ich wcale dobrze napisana, a słowa z literą „r” zρέcznie zamienione innemi jednoznaczniemi, lub też omawiane. Pod względem treści przedstawiają się też nader zajmująco; są tam opowiadania historyczne, opisy miejscowości lub pór dnia (najwięcej), powiastki, anegdoty i t. p.

Po długim namyśle wybrałem owe pięć ćwiczeń do nagrody, auterami ich są: Dixit, Śnieżycą, Irenka z nad Niemenka, Januś z Chojna i Jadzia z Woł. Ta ostatnia napisała najdłuższe ćwiczenie, nie używszy ani razu nie tylko słowa z „r” ale nawet z „rz”.

Najlepsze z kolei ćwiczenia po nagrodzonych napisali: Ludwina Kramsztykówna, Irbasta, Zajączek, Orzeł, Jagienka, Halka z nad Teterowa, Pufcia, Orzeł Białowiecki, Błędny Ognik, Grażyna, Blondynka z nad Dochny, Polna Grusza, Wanda Sokołowska, Wielkopolanka, Żabka z nad Rosi, Pol. z nad Teterowa.

Na pochwałę zasłużyli:

Litwinka z nad Świętej, Adam Abramowicz, Janek Abramowicz, Cześ i Wańdzia, Czuby Orzeł, Ludwik Stanisławski, Zygmunt Bohuszewicz, Zbyszko, Halina Olszawska, Niusia Nadwiślanka, Wanda Weyssenhoffówna, Jan Weyssenhoff, Słonka, Gwiazda Przewodnia, Wesoła Kukulka, Gwiazda Puszczy, Elutka Mierzwińska, Przekornatka, Manusia Drzewiecka, Marychna Ossowska, A. B. Z., Litwinka, Meduza, Trzpiotka, Kraska, J. Zawadzka, Niezapominajka z Łodzi, Dzika Litwinka, Frania P., Bokser, Belladona, Trzecioklasista, Józef Wysocki, Archimedes, Władzio Piaszczyński, M. Głogowski, F. Kostrzewski, Zofia D., Demidowiczówna, Polcia Wróblewska, Danuska, Lena z Marszałkowskiej, Lusja Danzigerówna, Zośka, Jadka B., Marya Sachsówna, Polna Różyczka Boleoczko, Irena Raczyńska, Tulipan z Polesia, Kocia, Ewa B.

Po dwa jednakowe wypracowania przysłali: Czarna Perełka i Gimnazystka („Powódź.”), Bodziak Podolski i Luc. („Głogowanie”).

Nakoniec muszę wymienić autorów, którzy napisali bardzo dobre pod względem treści i stylu ćwiczenia, ale cóż! kiedy znalazły się w nich wyrazy z tą zakazaną zgłoską. Obok nazwisk stawiam w nawiasie ów wyraz:

Romana Kosnulska (*zabrakło*), Goryczka (*prawda*), Marya Kiersnowska (*odebrać*), Błękitna Niezapominajka

(*które*), Teca Bemska (*dręła*), Pola z Łodzi (*rano*), Sokół (*biorąc*), H. Wysocki (*Konfiturami*), Łokietek (*Warszawy*), Jadwiga Czerniowska (*mroźna*), Lilla Weneda (*którym*), Helena Troczyńska (*nie rozumiem*), Topola Grodziska (*którym, dopiero*), Polka Śmieszka (*zrywały, surowo*).

W. R.

Bez „r”

„Napisać coś?.. ale co? opowiadanie, czy powiastkę bez cwej spółgłoski, nigdy o podobnych ćwiczeniach nie myślałem nawet! Bądź co bądź nie zdaje mi się rzeczą tak ciężką a co za tem idzie, zasługującą na jakieś odznaczenie, bo szczerze rzecz mogę, że zupełnie swobodnie, bez osobliwego skupienia myśli, piszę te słowa z pominięciem zakazanej spółgłoski z lekkością jaskółki, muskającej brzegiem skrzydełek lustrzaną wód powierzchnię, i zdaje się, nie 100 lecz 1000 pisałbym słów bez tej spółgłoski, gdyby nie on czas, co to jak Anglicy mówią jest „monetą” a czego my, niestety ze smutkiem wyznać trzeba, nie przestrzegamy z należytą ścisłością!

Zatem i temat się znalazł! piszmy więc o ważności czasu! temat to poważny i wielce na dobie, bo choć w zasadzie my, młodzieńcy niedoświadczeni, przyznajemy już dziś całą doniosłość tego wszech-światowego przysłowia, w szkole jednak specjalnego wykładu korzystnego użycia czasu, porządku, słowności, niestety dotąd jeszcze nie mamy!

Dla zdobycia więc tej wiedzy, dom szkołą być winien, a ojciec, matka, opiekunowie, to.. przełożeni, to nasi nauczyciele nawet tej domowej szkoły.

Chciejmy tylko uważnie korzystać z ich wskazówek, patrzmy pilnie na ich postępowanie i naśladowmy, przede wszystkim zaś ściśle wypełniajmy ich polecenia a zobaczycie, kochani koledzy i koleżanki, że na początek zdołacie w waszych szafach, szufladach, pułkach i t. p. porządek; o szukaniu kałamarza, ołówka książki lub kajetu mowy nie będzie, i już oszczędzicie na czasie, mówię to z własnego doświadczenia!

Następnie ułożyć należy plan, aby wyzyskać każdą godzinę dnia, a stosując się ściśle do tego planu, stawiamy się zawsze na czas, będziemy mniej czuli na brzemień nauki, a potem z czystym sumieniem i śmiało będziemy używali czasu na zabawę i inne przyjemności odpowiednie dla naszego wieku! Jednocześnie należy zaopatrzyć się w małe książeczki dla codziennego o naznaczonej w planie godzinie spisywania swoich spostrzeżeń i zapisywania wydatków i przychodu szczegółowo!

Tyle na dziś.

Dalej więc śmiało w Imię Boże! do dzieła bierzmy się, do zdobywania tych cnót! My uczniowie poważniejsi nieco wiekiem bądźmy dla tej ukochanej naszej młodzie zachętą i przykładem, a wspólnymi siłami, da Bóg, zbudujemy gmach wspaniały i ogólnem ciesząc się uznaniem.

Dixit!

**Sprostowanie.** W ostatnim wierszu poezji p. t. „Alleluja w n. 13 zamiast: „Dzwon, co nam święta zwiastuje dzień” winno być: „Dzwonem, co Święta zwiastuje dzień.”

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Najmniejszy samochód (z ryc.)—Wiktor Hugo (z ryc.)—W Suchowskim dworze, p. Zofię Kowerską. — Węże (z ryc.) (dok.) Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ś. p. Piotr Skrzypiński. — Sprawozdanie z ćwiczenia bez „r”. — Dodatek: Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Moi przyjaciele, przez Janusza K. — Powrót ptaków, wiersz przez E. Lejową. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.



## POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).



salonie były już zebrane wszystkie dzieci z sąsiednich letnich mieszkań, które brały lekcje tańca, więc rozpoczęła się lekcja. Nauczyciel oznajmił, że wybierze dziś paru najlepszych tancerzy do tańca solo, i spojrzął po zgromadzonych.

— A gdzie panna Janinka? — zapytał. — Czemu nie stoi między tańczącymi?

Pani Jordanowa opowiedziała smutną przygodę, a Janinka, mrugając, połykała łzy. Helusia nie mogła znieść tego widoku, wystąpiła naprzód i zapytała nauczyciela:

— Przepraszam pana, ale czyby nie można odłożyć tego menueta na następną lekcję?

Pan Puchała spojrzął na panią domu, lecz ona rzekła:

— Przykro mi bardzo, ale przystać na to nie mogę. Powiedziałam wszystkim, że dziś będą tańce solo, i rodzice tancerzy zejdą się tu, by się przypatrzeć. Niemożna ich narażać na zawód.

— A więc! panienki i panowie! Zaczynamy!

I pan Puchała dał znak skrzypkom.

Po przetańczeniu krakowiaka, nastąpiła chwila odpoczynku; Helusia podbiegła do pani Jordanowej i szepnęła jej coś do ucha, poczem wraz z nią i Janinką wyszła z salonu.

Gdy powróciły po chwili, Janinka rozpromieniona stanęła między tancerzami. Miała na nóżkach pantofelki Helusi!



— Zanim złączą się goście, przetańczymy jeszcze raz menueta. Zaczynamy...

Pan Puchała zwrócił się do dzieci i rzekł:

— Zanim się złączą goście, przetańczymy jeszcze raz menueta. Zaczynamy!

Dał znak skrzypkowi, pary się uszykowały i rozpoczął się menuet. Janinka tańczyła równie dobrze jak zwykle, ale Helusia! Co się stało Helusi? Czy to ćwiczenia w domu, czy co innego nadało taką zwinność jej nóżkom, które suwały tak lekko, zręcznie i składnie, jak nigdy? Dzieci były zadziwione; pan Puchała kontent niesłychanie, oznajmił, że mając dwie tak doskonałe tancerki jak Janinkę i Helusię, urządzi dziś na popis menueta we dwie pary. A na zakończenie zwrócił się z pochwałami do Helusi.

— Panna Helusia zrobiła nadzwyczajne postępy. Czy to wprawa i praca w domu, czy może nowe trzewiczki?

Helusia spojrzała z uśmiechem na panią Jordanową, która powiedziała:

— Helusia ma dziś bardzo stare trzewiczki i to cudze, znalezione w torbie Stasia, bo swoje pożyczyla Janince...

W tej chwili zaczęły się schodzić matki i starsze siostry tancerzy, i wielkie wzruszenie było między dziećmi, gdy na dany przez pana Puchałę znak, wystąpiły dwie pary wybranych solistów na środek salonu.

Menuet powiódł się doskonale. Lecz gdy po skończeniu widzowie dali tańczącym brawo, stało się coś dziwnego. Wazon z kwiatami, stojący na konsolce, runął na ziemię.

Zrobił się krzyk, zamieszanie, wszyscy zaczęli razem wołać:

— To pewnie wiatr! —

— A może kot! —

— Zdawało mi się, że tędy przebiegł czarny kot — powiedziała jedna z dziewczynek.

— To dziwne! rzekła pani Jordanowa.

Ale stało się potem coś jeszcze dziwniejszego.

Kiedy dzieci, Staś, Helusia i Tolcia — wróciły do swej willi, okazało się, że stare pantofelki, w których tak dobrze było tańczyć Helusi, znikły bez śladu z torby Stasia, gdzie je znów schować miano.

— A jednak pamiętasz, że je włożyłem — dowodził Staś.

— Zdaje ci się; gdybyś był włożył, toby były — odpowiedziała bona.

— Zostały pewnie w dużym domu — dodała Helusia. — Muszę jutro pójść po nie, bo są bardzo wygodne. Tak mi łatwo było w nich tańczyć...

Ale i w dużym domu nie było śladu pantofelków.



## VII.

## Tajemniczy głos.

Przekornatka powróciła do domu bardzo zmartwiona. Przez całą drogę wzdychała i jęczała.

— Ach, co na to powie Krętogłówka? Będziemy musiały na wieki zamieszkać w tym domu, i nie powrócimy nigdy do kraju Czarów! Nigdy!

— Nigdy! — powtórzył jakiś głos.

Przekornatka zerwała się z krzesła i obejrzała wszystkie kąty. Nigdzie nikogo nie było.

— Czy to chochlik, czy boginka? — zapytała.

— Boginka! — powtórzył głos.

Przekornatka obeszała cały ogródek, zajrzała do każdego kwiatka, lecz nic nie znalazła.

— Czy przysłaś na pomoc? — spytała.

— Na pomoc — odpowiedział głos.

— Czy wiesz, że czarodziejskie pantofelki zginęły?

— Zginęły! — powtórzył głos.

— A ja bez nich nie mogę wrócić!

— Nie mogę wrócić! — powtórzył głos.

— Królowa będzie się gniewała!

— Będzie się gniewała! — powtórzył głos.

Przekornatka zaczęła się niecierpliwić.

— Czy ciągle będziesz tylko powtarzać moje słowa? — zapytała.

— Powtarzać moje słowa! — przedrzeźniał wciąż głos.

— Czy mi nie poradzisz nic? — zawołała.

— Nle poradzisz nic! — powtórzył uparty głos.

Przekornatka powróciła do domu, zamknęła drzwi, usiadła na podłodze i zaczęła gorzko płakać — a gdzieś w pobliżu rozległ się krzykliwy śmiech:

— Ha! ha! ha!

Potem wszystko ucichło.

Przekornatka szlochała ciągle, gdy nagle ujrzała przed sobą stojącą Krętogłówkę, z miną wielce kwaśną i zmartwioną.

(d. c. n.)

## MOI PRZYJACIELE.

## Stefcia.

Stefcia jest biedną dziewczynką. Często jest chora, a że rodzice jej nie mają pieniędzy na doktorów i lekarstwa, więc Stefcia leczy się w Szpitaliku.

Niedawno przecinali jej nóżkę aż w trzech miejscach.

Jak się zaciąć tylko w palec, to boli, a cóż dopiero, jak trzeba dla operacji dużą ranę rozciąć, a potem zmieniać opatrunki, przemywać bolące ranki.

Dzieci, kiedy im coś dolega, boli, płaczą zawsze, a Stefcia nie płacze, tylko śpiewa. Taka jest dobra i mądra dziewczynka.

— Dlaczego ty śpiewasz, kiedy cię nóżka boli?

— Bo, kiedy śpiewam, to myślę o śpiewaniu, i zapominam o nóżce, która boli — mówi i jeszcze głośniejsze śpiewa, choć w oczach ma łzy.

— A nie gniewasz się na pana doktora, że ci ból sprawia?

— Pan doktor robi tak, żebym była zdrowa, więc nie mogę się gniewać.

— A lubisz pana doktora?

— Jak się kogo lubi, to się chce, żeby on przychodził i przykro jest, jak już odchodzi; a ja cieszę się, jak już pan doktor odchodzi od mego łóżka. Więc ja go chyba nie lubię. Ale, kiedy już będę zdrowa, to będę go bardzo lubiła.

Inne dzieci, które leżą w tej samej sali, nauczyły się od Stefci także śpiewać, kiedy czują ból duży.

Ja Stefci nie widziałem jeszcze, bo mi o niej opowiedział tylko ten doktor. Ale Stefcia jest zdrowsza i w tych dniach pójdę ją odwiedzić, żeby poznać tę miłą dziewczynkę i zaprzyjaźnić się z nią.

Janusz K.



## Powrót ptaków

Coraz wcześniej słońce wstaje,  
Czarna noc się skraca;  
Wonią wiosny dyszą gaje,  
Rzuca ptactwo obce kraje,  
Wraca do nas, wraca.

Wraca z krzykiem klucz żorawi,  
W trójkąt ustawiony,  
Długo w drodze nie zabawi,  
I na czas się wiernie stawi  
W swe rodzinne strony.

Już i bocian długonogi,  
W towarzyszy kole,  
Przywędrował tu bez trwogi  
I rad widzi kraj swój drogi,  
Gniazdo na stodole.

Jaskółeczek tłum skrzydlaty  
Za innemi spieszy;  
U gościnnej, niskiej chaty  
Lepi gniazdko, jak przed laty,  
Dla swych piskląt rzeszy.

A witajcież mili goście!  
W tym powrotnym dzionku.  
Dla swych dziątek gniazda wznoscie,  
Chwałę Bożą z nami głoscie,  
Na tem złotem słońku.

E. Lejowa.



Marya Weryho.

## Co znalazłem w błotach i kałużach?

### Wstęp.

Wznanowy czytelniku! pozwól, że ci się przedstawię: nazywam się Władek Zawichrowski, mam lat dziesięć i jestem uczniem klasy wstępnej.

Nie wiem, kto pierwszy podał ten wyborny projekt, żeby uczniom zadawać mniej lekcji do domu; ktokolwiek on jest, wyrządził nam wielką przysługę. Teraz, gdy wracamy ze szkoły, mamy daleko więcej wolnego czasu. W zeszłym roku skorzystałem z ładnej wiosny i uprosiłem rodziców, żeby mi wolno było odbywać długie spacery za rogatki Belwederskie. Wiem, że jedne osoby zbierają różnobarwne kwiaty lub pachnące zioła, inne znów motyle i owady. Ja byłem skromniejszy w swych upodobaniach.

Zwykle zabierałem z sobą słoiki, czerpaki, siatki i włóczyłem się około stawów i rowów, zaciekawiały mnie żyjące tam twory. Chciałem przytem odnaleźć rybki, koluśkami zwane, ażeby je włożyć do akwaryum, tak, jak to zrobił mój kolega. Dużo straciłem czasu na szukanie, ale nie żałuję tego i dotąd nie mogę się dość nadszpeciwić, żeby kałuża brudnej wody, staw zarosły, mógł zawiierać tyle ciekawych stworzeń!

Drobniejsze i ciekawsze zwierzątka zabierałem do domu, gdzie urządziłem sobie skromne akwaryum ze słoja i śledziłem ich życie z dnia na dzień.

Muszę wyznać, że i rodzice zainteresowali się bardzo mojemu wycieczkami i często udzielali mi pożytecznych rad i wskazówek.

Sporządziłem sobie gruby kajet i zacząłem spisywać w nim swoje spostrzeżenia, od czasu do czasu odczytywałem je kolegom i zdaje mi się, że to ich zachęciło do podobnych spacerów i poszukiwań.

Dnia 27 czerwca przypadają imieniny ojca, bo mamy jednakowe imiona. Przepisałem moje notatki do ładnego zeszytu, ozdobiłem okładkę rysunkiem z liści i roślin wodnych, dałem tytuł „Co znalazłem w błotach i kałużach” i ofiarowałem tatusiowi.

Zdaje mi się, że ten wiązarek był dobry, bo ojciec uściskał mię bardzo czule.

— Czy już poznał wszystkie stworzenia, które są w błotach i kałużach? — spytał mię.

— O tak, proszę tatusia, jestem pewny, że nic nowego już nie znajdę.

— Jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy, proszę ojca.

— Dostaniesz ode mnie upominek, który ci wykaże, że nie masz racji; jest to powiększające szkło. Weź kroplę wody z twego stawu, nalej na szkiełko i popatrz.

Naturalnie wykonałem zlecenie ojca. I co zobaczyłem! Nikt nie uwierzy: zupełnie nowy świat zwierzęcy. Wiwat szkło powiększające! Mam nowe zajęcie, nowe wylawianie owych niewidzialnych dla oka stworzeń i spisywanie nowych notatek.

Ku jesieni sporo się tego nazbierało.

Razu jednego, gdy ojciec przeglądał mój kajet, tak do mnie przemówił.

— Notatki twoje są dosyć ciekawe, ale nie dość szczegółowo opracowane. Nie robię ci z tego wyrzutu, gdyż napisałeś to, coś widział, ale dam ci radę: gdy uzupełnisz swoje spostrzeżenia, uprosz p. Maryę Weryho, żeby notatki twoje uporządkowała i umieściła w „Wieczorach Rodzinnych,” niejeden czytelnik, badający stworzenia wodne, może ci przesaść cenne wskazówki.

Tak też zrobiłem. Pani Weryho i redakcja zgodziły się przyjąć mój kajet, a teraz zanoszę prośbę do czytelników: gdy który będzie szukał i badał stworzenia w naszych kałużach, rowach i stawach, a znajdzie jakie nowe stworzenia, których nie umieściłem w tych notatkach, lub jakie nowe właściwości już podanych, to proszę go bardzo, aby napisał do „Wieczorów,” a będę mu niewymownie wdzięczny i uzupełnię moje opisy.



### ZAGADKA.

ul. Stokrotka.

Wprost, łatwy do zjedzenia  
Wspak, trudny do zgryzienia.

### ŁAMIGŁÓKWA W TRÓJKĄCIE.

Uczniaczek dla Czarnuszki.

\* \* \* \* \* Zastąpić kropki literami i utworzyć wyrazy, którychby litery oznaczone gwiazdkami, złożyły nazwę kraju w Ameryce. 2) Pierwszy król rzymski. 3) Część świata. 4) Przyrząd wskazujący czas. 5) Miara angielska długości. 6) Pożyteczna roślina. 7) Rzeka w gub. Orenburskiej. 8) Samogłoska.

### NITECZKA ARYADNY.

Tygrys Bengalski dla B. Gołąbki.

pla	czra	nie	dzie	czy	ka	cznie	Njch
nie	cze	grze	be	bę	grze	lnl	mi
chy	a	szko	lal	i	o	kłó	się
li	na	ja	u	ce	ni	po	u
mi	dzi	czy	nó	knych	li	le	wiem
ro.	jak	ce	rze	wi	pię	*	wie

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 12.

Szarady: Lo — ko — mo — ty — wa:



## A r y t m o g r y f u :

S  
M a j  
K o l c e  
K o l o n i a  
M a m u t  
K o ń  
n

## Skrzynka do listów.

**Grażynie.** Czy to Grażyna wybiera się do Azji lub Australii, czy też ma tam znajomych, że nam takie pytania podróżnicze zadaje? Pospieszamy więc z odpowiedzią: kolej żelazna z Warszawy do Irkucka idzie przez Moskwę, Samarę, Czelabińsk i Omsk. Podróż trwa około 12 dni. Z Irkucka do jeziora Bajkałskiego niedaleko, ale do Pekinu kolej Mandżurska jeszcze nie dochodzi, nie można więc dokładnie określić czasu trwania podróży do stolicy Chin drogą lądową. Na stacji telegrafu Indo—Europejskiego w Warszawie mówiono nam, że o ile drut nie jest bardzo zajęty, odpowiedź telegraficzna ma depeszę z Sidney lub Melbourne na trzeci dzień. Drut przechodzi przez Wiedeń, Konstantynopol, Bagdad, Bombay, Madras, Syngapor i Jawę.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:** Danuśka, Antoni Filipkowski, Janina Iwicka, Irena M., Kamilcia Zenowicz, Rumak Stepowy, Zajączek, Grażyna, Król Stepów.

**Jankowi J.,** Łamigłówka błędnie ułożona, bo nie wybrałeś środkowych liter, lecz jak się zdarzy, bez żadnego planu.

**Wygnanemu Urwisowi z Danii.** Za kartkę bardzo dziękuję; list czytałam z zajęciem, i mam zamiar dać go do druku.

Oto drugi list ze stron dalekich od **Wieloryba** z Koły. Może nie jeden z czytelników naszych i czytelniczek chciałby zobaczyć, „jako renifery, zwierzęta niewielkie lecz zgrabne, pokryte gęstym włosem białym, lub popielatym, z dużemi niby gałęziami rogami na głowie, ciągną sanki, a w drodze, jak piszesz, nie potrzebują pokarmu ani napoju, bo gdy zechcą jeść, to same przystaną, wygrzebią z pod śniegu trochę mchu, chce im się pić — lizną śniegu i dalej w drogę! A może zechcieliby zobaczyć i te duże psy, które zimą wodę rozwożą na saneczkach w naczyniach mieszczących ze sześć wiader.” Ciekawe to okolice, tylko zimne; przysyłaj nam często wieści z nich, kochany Wielorybie.

**Wiosnę z Laszek** do stałych korespondentek zaliczam najchętniej. Ruchliwe prowadzisz życie, zaledwie powróciłaś z Kijowa do domu, a już robisz projekty wyjazdu na wakacje.

**Lilii ze Żmudzi.** Wskazówki ogrodnicze przysyłę ci w następnym numerze, bo dotąd nie miałam jeszcze czasu zasięgnąć rady pana Jankowskiego. Bardzo mi się podobał twój papier listowy.

**Przędce złotych nici** winszuję powrotu do zdrowia, po długim zamknięciu w domu, powietrze, otoczenie, każda rozrywka wydają się jakby nowe, lub odnalezione, a myśl dziękczynna zwraca się do Boga z wdzięcznością, że po dniach smutku i choroby, powróciły dni jasne i wesołe. W odpowiedzi, o której wspominasz, zaznaczyłam wyraźnie, że zawód nauczycielski nie dla każdego uzdolnienia jest właściwy, ale im trudniejszym się wydaje, tem więcej, jak to słusznie zaznaczyłaś, powinniśmy go cenić i starać się ułatwić. Konkurs na roboty ogłosimy przed wakacjami.

Masz zupełną słusność **Szczurku**, don Esteban Murillo słynny malarz z I-ej połowy XVII w. był Hiszpanem, a nie Włochem, mieszkał przeważnie w Sewilli. Czarna i Biała Wisienka to moje dawne korespondentki, a więc i dobre znajome, ale kto wie, czy i one się nie mylą co do mojej osoby.

**Biała Kotka** nie straszna dla mnie, bo nie podejrzewam jej

o drapieżne zamiary względem przyjaznej Jaskółki. Nie żałuj ślizgawki, bo jej utratę wiosna ci wynagrodzi powabem swoim i właściwemi rozrywkami.

Rozumie to dobrze **Czarny Kruczek**, bo z niecierpliwością oczekuje, aby mógł biegać po dworze i kopać swój ogródek. Biała Kotka Czarnemu Kruczkowi, a on jej nawzajem pozdrowienia przesyła.

Każesz mi odgadnąć **Biała Wisienko** z twego pisma, ile lat mieć możesz, — nie jestem biegłą w grafologii, więc aby się nie pomylić, pytanie pozostawię bez odpowiedzi, a sądząc ze stylu zaliczam cię do grona starszych korespondentek. Byłam w klasztorze, o którym wspominasz, może jednak nie jednocześnie z twemi siostrami. Gołąbka zawsze życzliwa „Wieczoram”, czytuje je teraz swoim dzieciom, Józio podróżuje obecnie za granicą, święta miał spędzić w Rzymie.

**Mojej Gosposi.** Trzeba być pobłażliwą dla młodego roźdzeństwa i darować im wyrządzoną szkodę, ja ze swej strony postaram się przyczynić do wynagrodzenia jej i o ile się znajdą, przysyłę wam zniszczone przez Tadzia i Zosię numery. Rozwiązania zadań bez nagród choć spóźnione, byle przed ogłoszeniem ich w Wieczorach są przyjmowane w redakcyi. **Kurce Czubatej** za dopisek dziękuję i pamięci się waszej polecam.

**Listkowi Zielonemu.** Wypracowanie przysłałaś za późno, konkurs został rozstrzygnięty, imiona nagrodzonych i lista zasługujących na pochwałę już się drukuje. Na drugi raz nie marudź tak długo.

**Kukułka i Kitka** bardzo miłemi i dobrze napisanemi listami poznały się dziś ze mną. Podejrzewam, że musicie się znać z sobą, jedna wspomina Białą Kotkę, druga Czarnego Kruczka, więc to cała gromadka znajomych. Bardzo żałuję, że pierwsza odpowiedź dla **Mazura z nad Wołgi**, musi być odmowna. Szarada ułożona bardzo zręcznie, ale wkraść się błąd ortograficzny, środkowa sylaba pisze się *nusz*, więc drugie trzecie nie może być *nóżka*. Widać jednakże, że masz łatwość w układaniu szarad i zadań, może nam więcej innych nadeszlesz, nie zapominając obietnicy, że do liczby stałych korespondentów się zaliczysz.

**Babie Jadze** dziękuję serdecznie za przysłane życzenia świąt wesołych. I myśmy mieli kilka dni prawdziwie wiosennych ale przysłowie mówi „w marcu, jak w garncu” więc i o nas deszcz, a nawet grad zapomnieć nie chce. Wystawiam sobie, jak będziesz harcowała na Hapce, czy dobrze jeździsz już konno? Przyslij mi swój adres dokładny, a jeżeli chcesz, wyślę ci kartkę z widokiem Warszawy. Pozdrowienia wszystkich miłym korespondentom załączam.

Wasza Jaskółka.

## Żarcik na zakończenie.

- Kaziu, dlaczego nie bawisz się z Manią?
- Bo płacze...
- A dlaczego płacze?
- Bo nie chce się z nią bawić.

Czarny Kruczek.

## Ofiary: Na przytułek św. Zofii.

Ciocia Zosia kop. 50, Basia Gurbska zebrane r. 1 kop. 20, ciocia Helcia kop. 10, Babunia kop. 10, p. Pilcicka kop. 30, Zosia Gościcka kop. 25, Zosia Brudnicka kop. 55, Mamusia kop. 50, Zosia Jezierska kop. 25, Zula R. kop. 15, Dziewczynki uczące się u p. K. r. 1 kop. 10, Zofia W. kop. 15, Zofia T. kop. 15, Zofia M. kop. 15, Bezimiennie kop. 20, Bezimiennie kop. 30, Zofia J. kop. 15, Zofia S. kop. 15, Zosienka C. kop. 15, Zosia D. kop. 15, Zofia Z. kop. 15, Zofia J. kop. 15, Zofia S. rub. 1 kop. 20, Zofia B. kop. 30, Łucya P. kop. 15, Jadzia S. kop. 15, Zosia N. rub. 1, Zosienka Bielawska kop. 30, ciocia i siostrzeniczka Zosia P. kop. 50,

Na Kolonie Letnie: Bezimiennie kop. 80.